

## W przeklętym lesie.

Od dwóch dni Ludwik Martin i Jacques Durand błądzili po olbrzymim lesie podzwrotnikowym, pokrywającym całą północną Kambodżę. Wyjechawszy z rana z „bungalowu“ na ruinach Angkor-Vat, dali się porwać urokowi polowania. Krając śladami zranionego jelenia, stracili orientację i zabłądzili w tem morzu roślinnym o nieznanym i nieobjętych granicach.

W ciągu całych godzin szli niezmordowanie, nie tracąc nadziei, że odnajdą drogę, lecz w poszukiwaniach swych oddalili się zbyt daleko od brzegu lasu. Obecnie jednak uświadomił sobie, że zginęli wśród tej bujnej i wrogiej zarazem roślinności, która pochłonać potrafi całe miasta, jak uczyniła to z Angkor-Tom. Nad głowami ich rozpościerało się niezmiennie jednolitą zieloną sklepienie, przez które rzadko tylko przenikały błyskawice nieba. W dole, w gąszczu leśnym, dokąd światło słońca nie dochodziło nigdy, panował zielony półmrok o cieniu mogiły, na podobieństwo światła w ciemnym akwarjum.

Z grubej powłoki gnijących na ziemi liści i roślin unosiły się niezdrowe opary.

U schyłku drugiego dnia, Ludwik Martin zwałił się na ziemię. Napadła go febra leśna. Nogi uginały się pod nim, nie miał już siły stąpić kroku. W twarzy jego, bladej straszliwie dziwnym blaskiem gorzały oczy a szczyki jego dygotały, poruszone konwulsyjnie. Pojął, że jest już po nim i że pozostaje mu tylko kilka godzin do życia, ponieważ febra leśna w rzeczywistości nie jest niczem innym, jak tylko zakażeniem krwi i rzadko wypuszcza swe ofiary.

Jacques Durand pochylił się nad przyjaciela, starając się podtrzymać go na duchu, jak robi się zwykle u łóżka konającego.

Nie odpowiadając, Martin wzruszył ramionami. POCO wprowadzać go w błąd? — Wiedział dobrze, że nieubłagana śmierć czyha na niego i nie oddał się więcej.

Nastąpił zmierzch. W strefie podzwrotnikowej trwa, zaledwie minut kilka. Papugi przestały skrzeczeć na wierzchołkach wysokich drzew; miliardy owadów brzęczeć przestały; zamłki ich przerażający, ogłuszający koncert. W ciągu kilku chwil roje małych goniły się po drzewach, wydając okrzyki przenikliwe.

W końcu zapanowała wielka cisza czarnej nocy.

U Martina rozpoczęła się agonja. Od-

dychał ciężko, a zęby jego zgrzytały w mroku.

Jacques nie przestawał zajmować się konającym i drżącą ręką wycierał jego zroszone potem czoło.

Wtem zianacka o kilka kroków dał się słyszeć lekko szmer rozsuwanych piączy i deptanych liści.

Przyciągnięty jękami, pojmując, że przeciwnik bronić się nie będzie, pan lasu — tygrys podkładał się do swej ofiary.

Jacques jednak usłyszał go. opuszczając na chwilę przyjaciela, wziął fuzję do ręki, gotując się do strzału. Król-tygrys zamarł w bezruchu. Czujny, podejrzliwy, spostrzegłszy ruch nieoczekiwany, ukrył się w gąszczu.

Z palcem na cynglu, Jacques pozostał w postawie wyczekującej...

Wpobliżu wszystko zastygło na pozór w przerażającej ciszy. Słyszał jedynie obok siebie przyspieszony oddech konającego...

Tak upłynęło pół godziny. Nie będąc pewny, czy tygrys się oddalił, Jacques obawiał się opuścić swoje stanowisko. W końcu zdecydował się rozstrzygnąć sprawę i posunął się odważnie w kierunku, w którym domyślał się skrytki zaczajonego zwierzęcia...

Przeszedł zaledwie kilka kroków, gdy przeciągłe rżenie wstrząsnęło jego jestwem... W umiennaniu, że towarzysz jego czuje się gorzej, zawrócił z drogi.

Po omacku posuwając się w mroku, starał się odnaleźć miejsce, gdzie leżał umierający towarzysz i wołał głośno na niego... Jednak, choć nad słuchiwał, uważnie, nie doszła go żadna odpowiedź. Nie było wątpliwości, Ludwik Martin wydać musiał ostatecznie tchnienie.

Jacques w każdym razie pragnął odnaleźć jego ciało. We wszystkich kierunkach badał określony obszar, lecz było to bezowocne. Zniechęcony, postanowił odłożyć swe poszukiwania do rana i oparty o pień drzewa, czekał... Nie słyszał już króla - tygrysa.

Świt zbudził się nagle... Mroki nocy rozprzeczły się w ciągu kilku minut. W przebudzonym lesie odezwał się choć papuga i owadów, a małpy radośnie przeskakiwały z drzewa na drzewo... Z rozpaloną głową, uginającymi się kolanami, postąpił kilka kroków... Na gładkiej korze pobliskiego drzewa zauważył długie ślady zdrajcy - władcy lasu tutaj czyścił swoje pazury.

O kilka kroków dalej miękka ziemia zachowała kształt ciała ludzkiego. O kilku

metrów od tego miejsca leżał kask kolonialny...

Jacques czuł jak jego zkołki chwytają go rączkami... Już nie mógł utrzymać się na nogach... Zaczynał majaczyć... Dziwaczne obrazy tańczyły przed jego oczyma...

Zianacka zdało mu się, że zewsząd otaczają go drapieżne zwierzęta i wypełniają ku niemu monstrualne żmje...

Przerażony, nastawił broń i zaczął strzelać we wszystkich kierunkach. I dziwna rzecz, wydało mu się, że słyszy echo strzałów, zbliżające się do niego... Zawrót głowy zatamował bieg jego myśli: utracił świadomość tego, co działo się wokół niego...

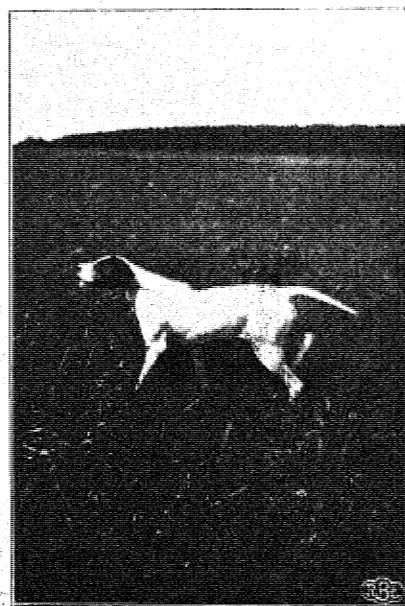
Gdy odzyskał przytomność, leżał na łóżku szpitalnym... Słyszał głos, dochodzący go zdala, oznajmiający o jego powrocie do życia, lecz był tak słaby jeszcze, że nie mógł tego pojąć...

Później znacznie dowiedział się, że ludzie, którzy wyszli na jego poszukiwanie, znaleźli go wreszcie, zwabieni odgosem jego wystrzałów... Znajdował się w opłakanym stanie...

Natomiast nie zdołano nigdy odnaleźć jego towarzysza... zatary się wszystkie ślady po nim...

Las przeklęty strzegł swej tajemnicy...  
Tłum. L. M.

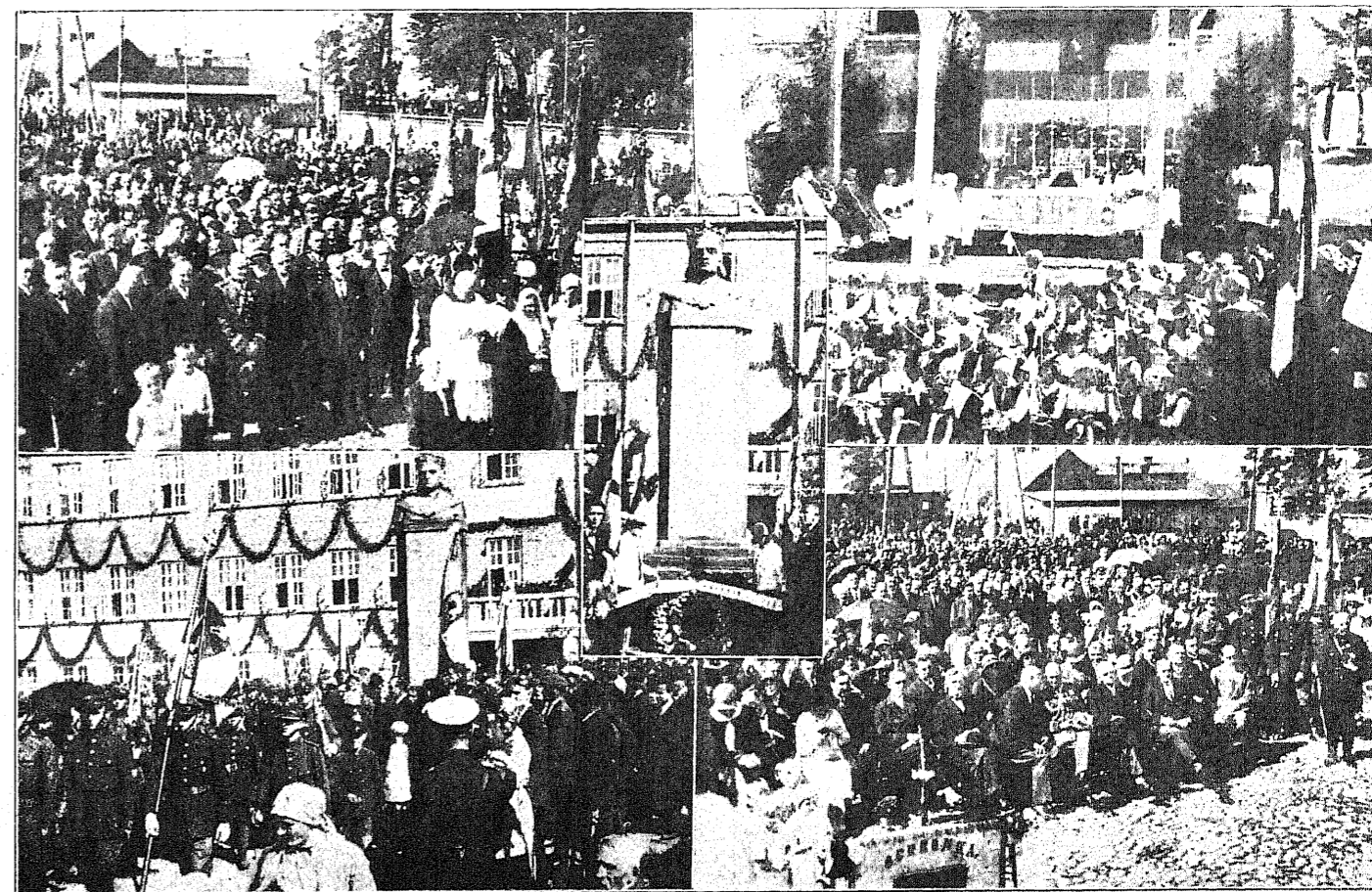
## Stójka.



Ponterka „Illi“ p. inż. Romanowskiego pilnie „trenuje“ przed rozpoczynającym się 1 września sezonem myśliwskim na kuropatwy.



## Święto Tuszyna.



Tuszyn, niewielkie, bo liczące zaledwie kilka tysięcy mieszkańców miasteczko pod Łodzią zdobył się na wysiłek, który mógłby być przykładem dla wielu miast dużych. Oto w ub. niedzielę odbyło się odsłonięcie pięknego pomnika założyciela miasta, króla Władysława Jagielly, z jednoczesnym poświęceniem i otwarciem imponującego gmachu szkoły powszechnej, której rozmiar i urządzenie stoją całkowicie na europejskim poziomie.

W uroczystościach, doskonale zorganizowanych przez burmistrza miasta p. Domowicza, wzięli udział przedstawiciele władz państwowych z p. wicewojewodą Różnickim, dowódcą O. K. gen. Małachowskim i starostą Rzewskim na czele, duchowieństwo z J. E. ks. biskupem W. Tymienieckim, liczne organizacje społeczne oraz tłumy publiczności i okolicznej ludności.

Na ilustracji kilka momentów z uroczystości, a więc odsłonięcie pomnika, nabożeństwo, przemówienie ks. Roszkowskiego oraz defilada oddziałów przysposobienia wojskowego przed pomnikiem.

## TEATRALJA.

### Premjery warszawskie. — Teatr angielsko-włoski. — Drobiazgi z za kulis.

Nowa komedia Włodzimierza Perzyńskiego, wystawiona ostatnio w Teatrze Narodowym, posiada wszystkie cechy mocnego talentu tego rasowego komedjopisarza, zajmującego zaszczytnie wyróżniające się stanowisko wśród licznego zastępu naszych autorów współczesnych. Drobiazgowość obserwacji, prawdziwość linii psychologicznych, nigdy nie ulegających zalamaniu, ani zamazaniu, ironia złośliwa a inteligentna w spojrzeniu na świat, umiejętność czerpania z tego świata tych wątków i tematów, które mogą stać się złotą żyłą w ręku komedjopisarza, opanowanie techniki scenicznej, będące skutkiem w równej mierze instynktu jak rutyny — oto wystarczająca chyba aż nadto rekomendacja twórczości teatralnej znanego autora „Aszantki” i „Lekko-myślniej siostry”.

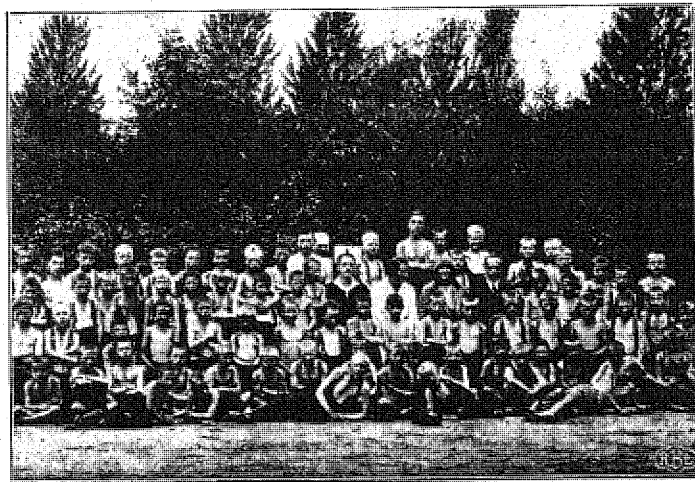
„Dzieje Józefa” są może nieco chłodnym, ale wymownym dziełem talentu Perzyńskiego, który nietylko zdobyć się umiał w tej komedji na wielką pomysłowość fabuły i zreczność w zawinięciu zasadniczego pomysłu, ale również — śmiałą i pewną ręką narysował bogatą galerję pełnych krwi i życia aktualnych figur, podpatrzonych i utrwalonych w najciekawszych pozach i sytuacjach. Bohaterem komedji, która — jak to wskazuje tytuł — ma być w pewnym stopniu parafrazą biblijnej przypowieści o Józefie i żonie Putyfaara, jest lokaj p. hr. Putyfaarowej, Józef, który — tęskniąc do „wyższego świata” — znalazł się dość niespodziewanie i całkiem niezastuzhenie w — więzieniu. Tutaj otrzymuje Józef prawdziwą szkołę życia; uczy się potrosze wszystkiego, nie wyłączając „wiedzy tajemnej”, która następnie czyni z lokaja „chiromantę” i „spirytystę”, zapewniając mu zarobki i pozycję, o jakiejś dawniej marzyłby nawet nie śmiał... Satyra, której Perzyński nie szczędzi środowisku hrabiowskiemu, ani też swemu bohaterowi głównemu, jest dotkliwa, ale zabawna i w zetknięciu z realizmem obserwacji autorskiej daje niejeden efekt wysoce komiczny. „Dzieje Józefa” obejdą niewątpliwie w zwycięskim pochodzie wszystkie sceny polskie, a pochod ten zapoczątkowała Warszawa wcale udatnie, przyczem pp. Rotter - Jarnińska. Justjan, Hnydziński najwięcej przyczynili się staranną robotą aktorską do rzetelnego sukcesu komedji.

Z oryginalną niewątpliwie nowością wystąpił pod koniec sezonu wakacyjnego Teatr Mały, wystawiając trzyaktową, sensacyjną komedję Verneuil'a p.t. „Pan Lambertier”. O Verneuil'u nie mieliśmy nigdy zbyt wysokiego pojęcia, uważając go raczej za zrecznego rzemieślnika teatru, aniżeli za autora o pełni samorodnego, zaciekawiającego talentu. Jeżeli o tę zreczność chodzi, w „Panu Lambertier” Verneuil przeszedł istotnie sam siebie i wspiał się na pewną wysokość, której mu dotąd przyznać było trudno. Bohater komedji pan Lambertier ma tę charakterystyczną cechę, że go na

scenie wcale — niema; w całej zaś komedji, będącej uscenizowanym dialogiem, biora udział tylko dwie osoby, mianowicie — malarz Jerzy i jego kochanka, Germaine'a, poprzednio blińska przyjaciółka bogatego pana Lambertiera. Ten ostatni, choć nieobecny, wypełnia wszystkie myśli i rozmowy pary niezbyt dobranych kochanków; uczucie Germaine'y bynajmniej nie wygasło, choć niezręcznie stara się maskować je przed Jerzym, Jerzy zaś dobrze zdaje sobie sprawę z istotnego stanu rzeczy i trawiony jest obłąkańczą zazdrością. Zazdrość staje się właściwym bohaterem sztuki, i ta zazdrość popycha Jerzego do zamordowania (w antrakcie) Lambertiera. Ostatecznie — widząc, że ta zbrodnia nie zdołała przecież nic zmienić w stosunku uczuciowym Germaine'y do tego, z kim obecnie żyje, Jerzy oddaje się w ręce sprawiedliwości.

Rzecz prosta, że ten dramatyczny dialog Verneuil'a oparty w całości na walorach konwersacyjnych, wymaga od pary wykonawców prawdziwej wirtuozerji aktorskiej która musi spomóc i podtrzymać dobry, ale wątły teatralnie pomysł autorski. Takich wirtuozów „Pan Lambertier” znalazł w Teatrze Małym w osobach p. Modzelewskiej i Węgierki, którzy role swoje wyczelowali do najdrobniejszych szczegółów, tworząc arcyświetny, rzadko spotykany popis sztuki dialogowania, coraz bardziej fascynujący na przestrzeni trzech aktów, w miarę rozwijania się niewidocznej akcji psychologicznej, t. j. dojrzenia w duszy Jerzego zamiaru morderstwa. Jak słyszymy, „Pana Lambertiera” zapowiada w bież. sezonie także Łódzki Teatr Kameralny.

Za poparciem ambasady włoskiej po-



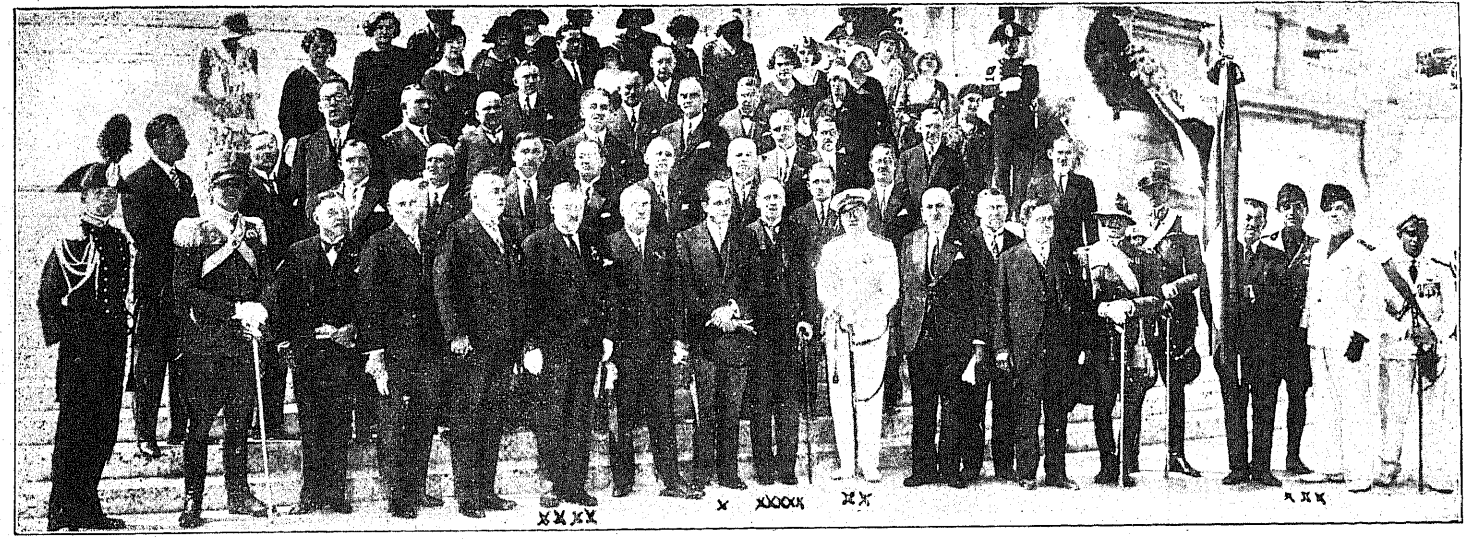
W parku 3-go Maja zorganizowane były przez Magistrat półkolonie letnie dla dziatew szkolnej, na których spędziło wakacje w dwóch kompletach 6400 dzieci. Dzieci podzielone były na grupy, nad którymi pieczę objęli wychowawcy szkół powszechnych. Na zdjęciu widzimy jedną z takich grup, której towarzyszą inspektor wychowawczy p. Puternicka, kierowniczką p. Paszyńska, kierownik p. Wojdela oraz wychowawca grupy p. Grzesiak.

wstał w Londynie t. zw. teatr angielsko-włoski, który ulokował się w gmachu jednego z mniejszych teatrów londyńskich. W skład trupy weszła m. in. słynna aktorka Rosalinda Fuller, zaś na pierwsze przedstawienie odegrano sztukę G. Zorri'ego p. t. „Trzech Kochanków”. W przyszłości teatr zamierza grać inne najcenniejsze sztuki włoskich autorów w dobrych angielskich przekładach. Naodwrot także, w przyszłym sezonie ma być sprowadzony zespół pierwszorzędnych sił aktorskich włoskich, który będzie grał wybitne sztuki ze współczesnego angielskiego repertuaru. Teatr angielsko-włoski cieszy się dużym powodzeniem wśród korpusu dyplomatycznego i sfer arystokratycznych Londynu.

Bernard Shaw, który interesuje się zawsze bardzo żywo nietylko problematami terażniejszości, lecz i sprawami — przyszłości, pisze obecnie nowy utwór sceniczny p. t. „Wojna”. Jest to satyryczne, nawskroś indywidualne ujęcie wizji wojny przyszłości wojny w r. 1930. Nie potrzeba dodawać, że wizja ta bynajmniej nie jest pociągająca, zaś Shaw deklaruje się, jako zdecydowany wróg krwawych zatargów międzynarodowych.

W operze wiedeńskiej i drezdeńskiej równocześnie ma się odbyć na jesień r. b. premjera nowego dramatu muzycznego Ryszarda Straussa, p. t. „Arabella”. Akcja nowej opery rozgrywa się w Wiedniu w latach siedemdziesiątych 19 stulecia. Libretto do opery napisał zmarły niedawno poeta niemiecki, Hugo Hofmannstahl. Nowej operze Straussa wróżą w zagranicznych kółach muzycznych duże sukcesy.

Delta.



Niedawno bawiła we Włoszech wycieczka Zw. Oficerów Rezerwy Rzeczypospolitej Polskiej. Wycieczka, w której liczny udział wzięli również łodzianie, przyjęta została na specjalnej audjencji przez Ojca św. oraz przez najwyższych dostojników państwa włoskiego. Na zdjęciu uczestnicy wycieczki po złożeniu wieńca na grobie Nieznanego Żołnierza w towarzystwie radcy ambasady, p. Folomer (\*), pułk. Roucomi z włoskiego ministerstwa lotnictwa (\*\*), inwalidów włoskich (\*\*\*), kierownika wycieczki ppłk. Dienstl - Dąbrowy (\*\*\*\*) i radcy Tomaszewskiego (\*\*\*\*\*).



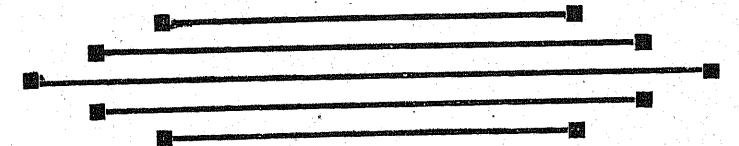
Przed kilku dniami odbyło się w 4-ym dywizjonie żandarmerji w Łodzi zakończenie ćwiczeń II turnusu rezerwistów. Na zdjęciu dowódca Łódzkiego plutonu żandarmerji kpt. Modzelewski w otoczeniu starszych wachmistrzów Janusiewicz i Świeśa oraz grupy rezerwistów



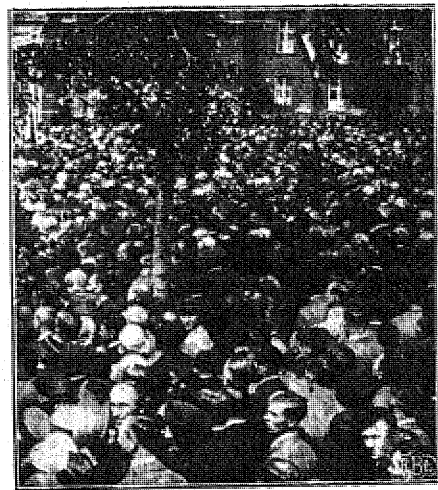
Jedną z najlepiej postawionych żeńskich szkół zawodowych której fragment laboratorium widzimy na zdjęciu, jest Liceum Przemysłowo-Handlowe w Warszawie, posiadające prawa szkół państwowych (Warszawa, ul. Świętokrzyska Nr. 35). Pożyteczna ta i jedyna w Polsce placówka naukowa przysparza krajowi rok rocznie spory zastęp wykwalifikowanych pracowniczek, zapewniając sobie pomyślny rozwój, popularność i odpowiednią ocenę w społeczeństwie.



S. p. Stefan Przedpełski, inżynier-technolog, długoletni dyrektor przedsiębiorstwa zakładów Geyerowskich, którego pogrzeb przy udziale ks. biskupa dr. Tymienieckiego, licznego kleru oraz tłumów publiczności odbył się w ub. tygodniu.



W ub. niedzielę Łódź imponującą manifestacją odpowiedziała na bezczelne zakusy prusactwa na ziemię polską, dając wspaniały wyraz gotowości obrony granic Rzeczypospolitej. Niezliczone rzesze uczestników manifestacji w skupieniu wysłuchały licznych przemówień, zarówno na Placu Wolności, jak i przed katedrą w czasie składania wieńców na płycie Nieznanego Żołnierza.





Norma Shearer, znana z filmu „Grzech Kusi”, kreuje popisową rolę w obrazie p. t. „Komediantka



Scena z filmu „Karnawał”, zrealizowanego w Paryżu przez wytwórnię Alberti. Jest to ostatni francuski film niemy.



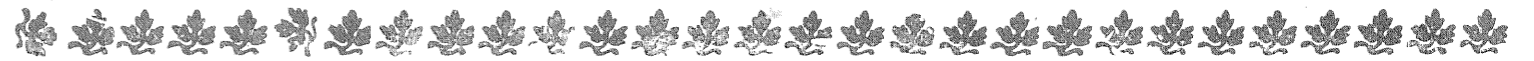
Billie Dove z zamiłowaniem uprawia trening w boksie.



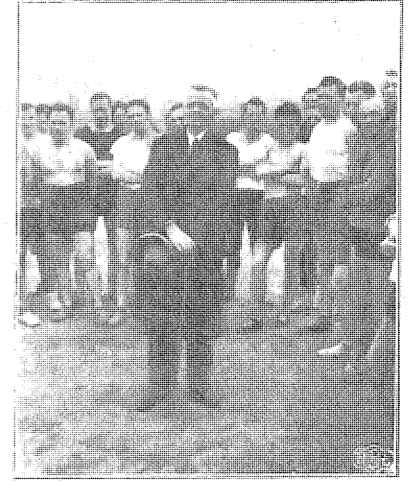
Wł. Ziemiński, znany łódzkiej publiczności, artysta i reżyser teatralny, zamierza poświęcić się pracy filmowej.



Dawno niewidziany Jackie Coogan, ukaże się w nadchodzącym sezonie w pierwszym swoim filmie dźwiękowym.



Grupa uczestników Państwowego Kursu Wychowania Fizycznego dla wykwalifikowanych nauczycieli szkół powszechnych z okręgu łódzkiego, który odbył się w Kaliszu w sierpniu r. b. Pośrednią sędzią: 1) prof. Glaser, 2) Szumlewski, 3) wic. Pełomski, 4) insp. Robak, 5) prof. Krak. Oznaczone krzyżykiem nauczyciel w. w. i f. w M. W. R. i O. P. p. Błęski. Obok na zdjęciu



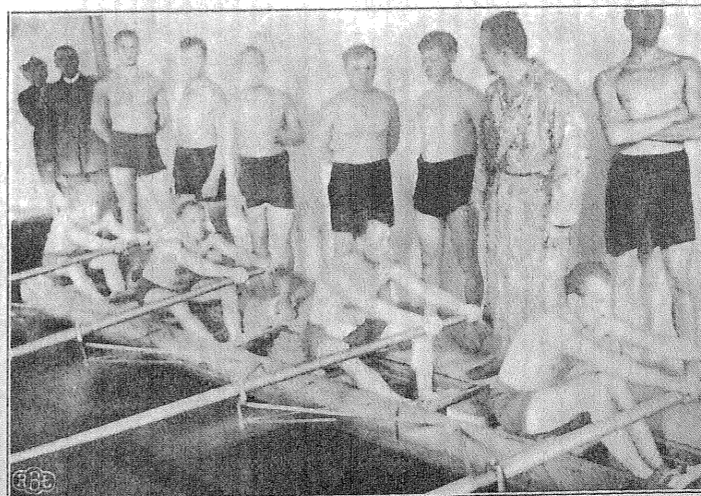
Pan kurator J. Gadomski w otoczeniu kursistów.



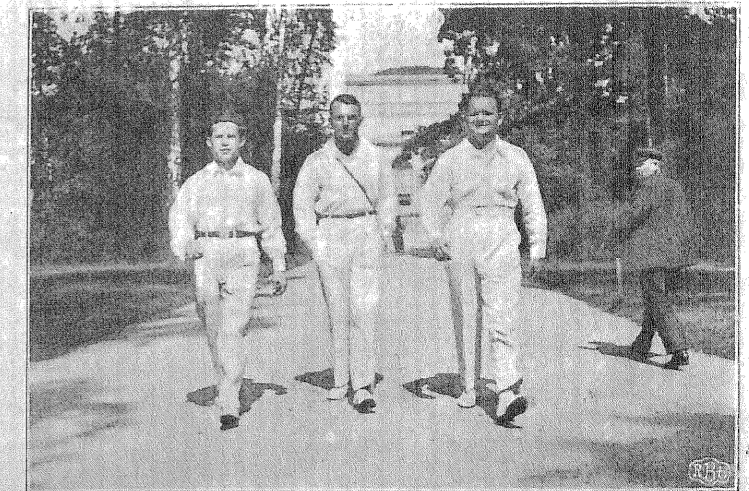
Przystań wioślarska młodzieży szkolnej w Kaliszu, oddana do użytku kursistów.



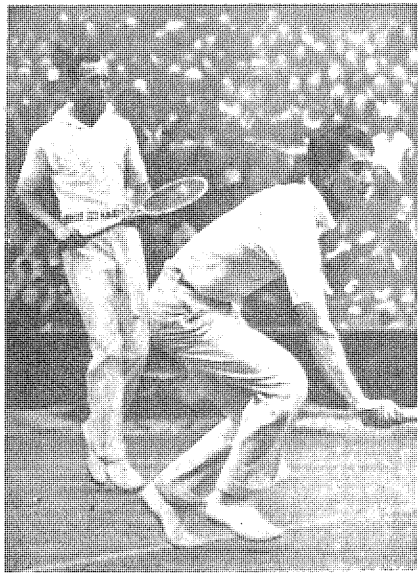
Nauka wiosłowania na kursie w. f. w Kaliszu. Wyjazd łodzi z przystami.



Naukę wiosłowania prowadzi prelegent kursu prof. Krak z gimnazjum A. Zimowskiego.



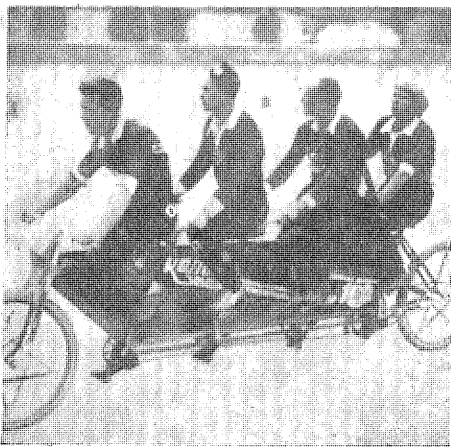
Trzej prelegenci kursu pp: Glaser, Szumlewski i Krak.



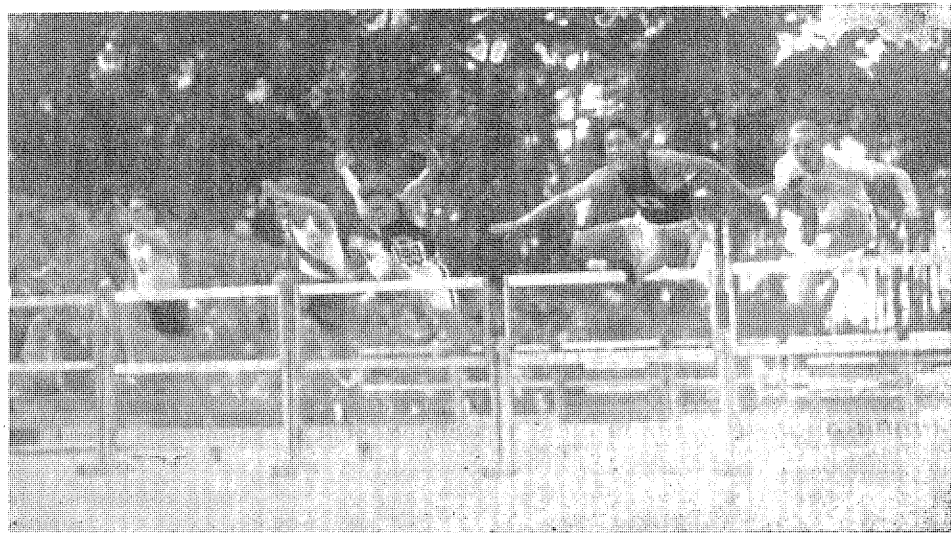
Doskonała para amerykańska Alison i Van Ryn.



Niespodziewana triumfatorka „stumetrówki“, Schabińska I, wygrywa pewnie bieg 80 mtr. przez płotki.



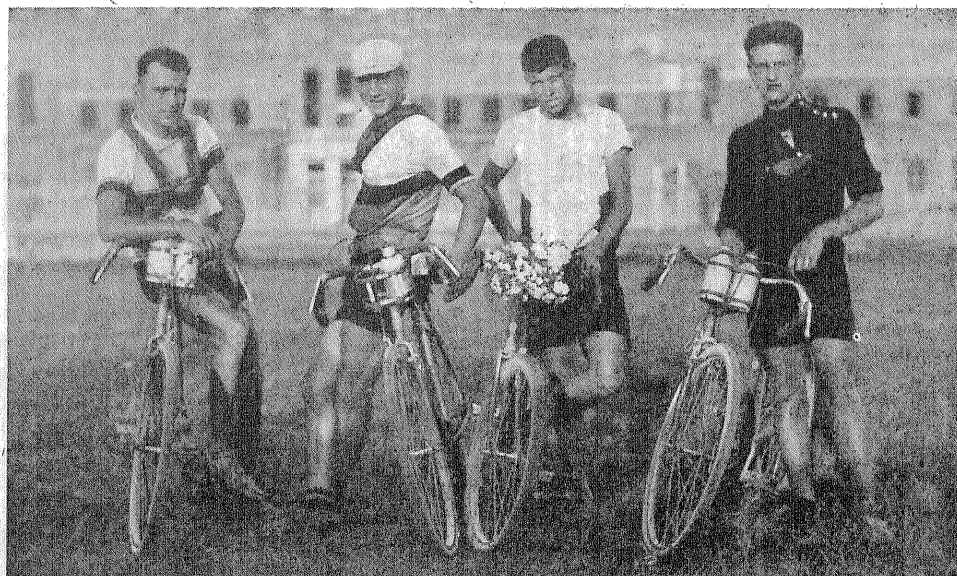
Ciekawy wyścig „czwórkowy“.



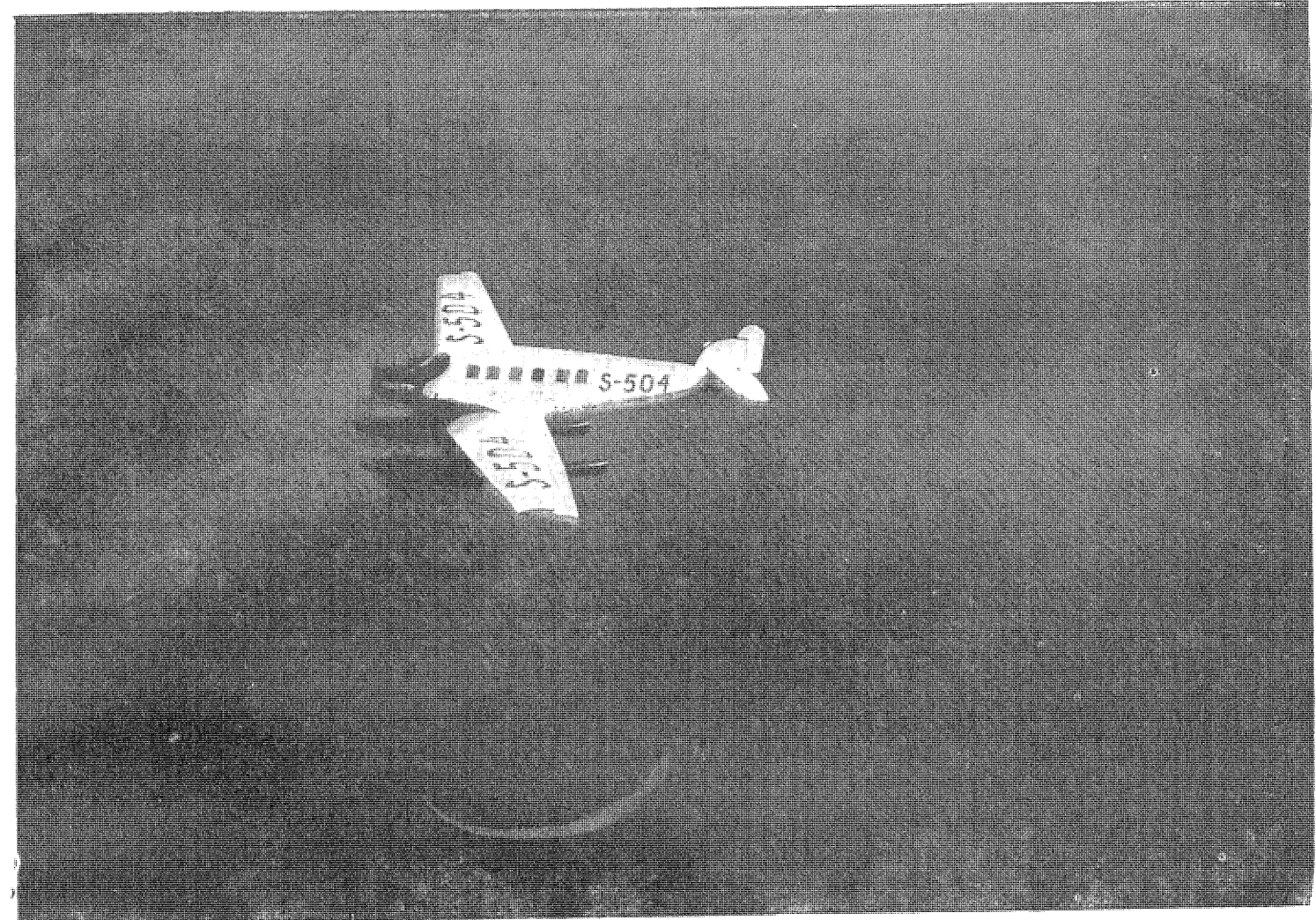
Japończyk Fudsite, wygrywa 110 mtr. przez płotki. Pierwszy od lewej — Nowosielski.



WALASIEWICZÓWNA uprawia również z zamiłowaniem grę w tenisa.



Zwycięzcy biegu Warszawa — Radom — Warszawa: Trzeci łódzianin Kłosowicz, Olecki (4), Stefański (1) i Targoński (2).



Świat, choć ma frazes pokojowy na ustach, nie przestaje się zbroić, czyniąc to bądź całkiem otwarcie, bądź, jak Niemcy, ograniczone w swych zbrojeniach. skrycie, pod osłonką celów pokojowych. Zwłaszcza w okresie letnim, okresie wszelkiego rodzaju manewrów bojowych i ćwiczeń, ta dwulicowość ujawnia się specjalnie jaskrawo. Na zdjęciu potężny hydroplan Junkorsa, zasadniczo aparat wyłącznie transportowy, tak jednak zbudowany, iż w ciągu niewielu godzin może być przystosowany do celów wojennych



Wąskie, pociągające swą orientalną tajemniczością zaułki Tunisu w doskonałej interpretacji malarzkiej art. malarza M. Trzebińskiego.

## PEGGY.

Czesć pamięci pastora Hopkinsa! Dzieki temu znacnemu człowiekowi poznałem Peggy. Ciekawym ten „clergyman” wziął pod swoją opiekę piękną kreolek. córka Anglika i Jawajki i różnemi krętymi drogami przez Atlanty, Nowy Jork i zieloną Szkocję wyładował pewnego sierpniowego poranku we Francji, gdzie skarb skóń powierzył mojej ciotce Charlin.

Przyjęty w Tailloure, w pensjonacie, który prowadziła wówczas ta moja krewna — dziewczątka, nie znałem radości, do których miałem prawo w osiemnastym roku życia. Podkreślić należy, że za cała ciotnia robiła mi łaskę, ofiarowując mi dach rodzinny na okres ośmiu tygodni i umieszczając mnie w wąskim pokójku, przesiąkniętym stechlizną, z okienkiem wielkości tabakierki.

— W twoim wieku — mawiała często — należy być ze wszystkiego zadowolonym. Pokażesz mi, czy potrafisz być użyteczny. Mam zamiar powierzyć ci swoje prace piśmienne.

I faktycznie, zamknięty w ponurym pensjonacie, niewiele korzystałem ze świeżego powietrza, a gdy wypadkowo wstawałem od biurka, by złapać ryk słońca, straszliwa wdowa z wąsami czempredziej zapędzała mnie z powrotem do klatki.

Zamiast kuracji klimatycznej sporządzałem rachunki i rejestrowałem reklamacje w towarzystwie czarnego kota w czerwonym neżyłku.

Obok tych funkcji, praktyczna krewna moja umiała mnie jeszcze obarczyć innymi obowiązkami. Wieczorami, ubrany w odświętny swój garnitur, tańczyć musiałem bostona „z paniami”.

Smutny aż do śmierci, przy dźwiękach fortepianu meczonego przez ciotkę, tańczyłem walc z czterdziestoletnimi pannami, nadętymi Holenderkami, tłustymi Hiszpankami i suchymi Angielkami, płaskimi jak deski.

Wtem zjawila się Peggy i stał się cud... Widzę ją jeszcze, jak wyskoczyła z powozu, w błękitnym płaszczu od kurzu, pod skrzydłem opiekuńczym swego „reverend”, wyglądającego jak czarny i melancholijny konik polny. Lecz jakże tu opisać po trzydziestu latach tę piękną kreolek o palących oczach, która po krótkim czasie obdarzyła mnie łaską swego pierwszego uśmiechu!

Było to — jak pamiętam — przy stole. Jej oczy, podobne do czarnych diamentów, zaczęły się o moje, a usta jej, jak płatki róży, rozwarły się w uśmiechu. Miałem już zamiar zatańczyć z nią, lecz zmęczona długą drogą, tego wieczora wcześniej udała się na spoczynek i zobaczyłem ją dopiero nastajutrz z rana.

W tym momencie rozpoczęła się sielanka. Siedząc przy biurku, przeglądałem korespondencje, gdy spłoszyły mnie kroki gazieli. Drgnąłem, doznawszy olśnienia.

Miss Peggy Collins wniosła brwi, spostrzegłszy mnie. Była w szlafroku pomarańczowego koloru. Jak dawna znajoma oparła obnażone łokcie na biurku zagadując mnie:

— Mówi pan po angielsku?

— Nie — odrzekłem. — Nie znam tego języka.

Znalazłem się odrazu pod jej urtekien. — nie było w tem nic dziwnego — lecz znieśnaka ukazała się ciotka.

— Robercie! — krzyknęła — chcę pomówić z toba.

Kiwnęła na mnie i zamuszony byłem pójść za nią. Skoro tylko znaleźliśmy się w jej pokoju, skrzyżowała ręce na piersiach: — przeszła mi surowym spojrzeniem.

— A to co takiego? — rzekła. — Oszałamieś, jak mi się zdaje. Czy uważasz swój dom za miejsce wątpliwej reputacji? Zabraniam ci zalecać się do tej młodej panny!

Schyliłem głowę bez protestu, lecz uległość moja była rzeczą zbyteczną, bowiem Peggy Collins, która płaciła najwyższą cenę w pensjonacie a ponadto wydawała się rozpieszczonym dzieckiem, tegoż popołudnia zaproponowała mi partje tenisa. Poradziłem się ciotki. Podkoczyla na krzesło, lecz przez wzgląd na bogatą klientkę nie sprzeciwiała się tej rozrywce.

— Zalecam ci przyzwoite zachowanie, — przypominała mnie. — Pamiętaj o tem.

Ciotka próżno lękała się o mnie, ponieważ byłem nieśmiały, straszliwie nieśmiały. Jakkolwiek miss Peggy Collins dnia tego robiła mi liczne „wawane”, już zdecydowana do flirtu ze mną, z ostrożnością zachowywałem się odpornie, trzymając się na linii obronnej. Przybył mi zresztą jeden obowiązek więcej: zabawianie tej ślicznej, młodej panny. I nie było wyłącznie winą moją, że ze zbytku gorliwości wywiązywałem się z tego zadania z entuzjazmem.

Peggy obserwowała mnie oczyma kotki, zrazu wymagając ode mnie tylko usług niewolnika. Wynajdywała dla mnie zajęcia, nie zniżając się wcale, co napędzało mnie trwogą.

Zamosiłem leżak jej na polankę. Peggy wyciągała się na nim, przymykając swoje czarne oczy. Zaokrągliwszy ręce nad głową w kształcie amfory, powierzała mi czynność odpędzania much zapomocą wianuszki świeżo zerwanych liści.

Nieco później prosiła mnie o wozenie jej łódka. Odbywaliśmy długie przejażdżki po śpiącym jeziorze. Były to godziny, których nigdy nie zapomnę. Peggy otulała mnie dziwnym uśmiechem. Pewnego dnia zapragnęła czytać z linii mojej ręki i czarującym głosem przepowiedziała mi miłość...

Była to gra drażniąca dla młodego, nie-doświadczonego człowieka. Straciłem sen, myliłem się w rachunkach i jak zegar słuchałem swego serca.

— Szczęśliwy mały lotrze! — szeptała mi ciotka.

Była zdecydowana przebiegłą handlarką. Wobec tego, że otoczenie jej nie zdradzało oburzenia, a zwłaszcza Peggy była zadowolona, ciotka radowała się z „koleżeńskich stosunków”, sprzyjających jej przyziemnym interesom, nie wprowadzając jej w konflikt z własnym sumieniem.

Co do mnie, kochałem Peggy aż do bólu, lecz z całym poszanowaniem dla pensjonatu ciotki i podrzędnej roli, jaką mi w

nim wyznaczono, nie odważyłem się wyznać Peggy swego uczucia.

Pewnego dnia jednakże Peggy zaproponowała mi wycieczkę w góry.

— To niemożliwe, — oświadczyłem — ciotka się nie zgodzi.

— Chciałabym to wiedzieć, — rzekła moja młoda przyjaciółka. — Sama o tem pomówię z p. Charlin.

Wróciła po kwadransie bardzo uradowana.

— All right! — rzekła. — Stara ustąpiła, lecz zapłacić jej muszę taryfę przewodnika. Ta handlarzka mnie wykorzystać wszystkie swoje szanse.

Pod jaskrawym słońcem jej wysmarkle, brązowe ciało wydzielalo zapach, palący mi skronie. Dzwony na Anioł Pański pobliskiego kościoła przypomniły nam o śniadaniu i usiedliśmy nad brzegem strumyka. Patrzyłem na Peggy, a ona na mnie. Bez słów zbytecznych zbliżyły się nasze głowy i zwarły usta.

— Peggy! — szepnąłem — zostaniesz moją żoną!

Wzruszyła ramionami, jakby ze snu zbudzona.

— To niemożliwe, — rzekła. — Pastor Hopkins przyjdzie po mnie w niedzielę. Zresztą mam narzeczonego w Kingstown. Tej zimy wyjdę zamaż za kuzyna mego, Geralda.

— Co takiego? — zawołałem zdumiony. — I kochasz tego Geralda?

Peggy niewinnie spuściła oczy. — Kocham go w Kingstown... A tutaj kocham tylko ciebie.

Peggy, mówiąc to, była zupełnie szczerą. Kochała mnie, bezwzględnie, ale tylko prowizorycznie. Na nieszczęście ten rodzaj miłości był mi obcy. Była to częściowo córka słońca, skłonna do egzaltacji, lecz z ojca Anglika, trzeźwego człowieka interesów, który gotował jej przyszłość wspaniałą, małżeństwo bogate... I po tym ojcu ten mały potwór odziedziczył chłodny rozsądek który w porę ratował ją od zboczeń z obranej zgóry drogi...

Zapłakałem może... Już dobrze nie pamiętam... Peggy rzekła pieszczotliwie:

— „No, no!... jak mówi się do ulubionego konia i pomknęliśmy przez łąki.

Szybko przeminiły dni i ujrzałem znowu, niestety, pastora Hopkinsa. Ponogłem Peggy spakować rzeczy. Odprowadziłem ją do powozu.

— Nie martw się — pocieszała mnie. — Przysyłać ci będę pocztówki.

Daremnie czekałem na obiecane pocztówki. Wróciłem do swej klatki i przez dwa tygodnie jeszcze, w małym salonie, tańczyłem ze starymi pannami. Domyślając się mego ukrytego cierpienia, zachowywały się z wielkim taktiem. Sącząc przez słomkę białą grenadyne, którą notowałem im na rachunku po franku siedemdziesiąt pięć centymów, zaczęły te damy śpiewać chórem:

— Straciłszy swego rąskiego ptaka! Jakże urocza była ta Peggy Collins!

Tłum. L. M.



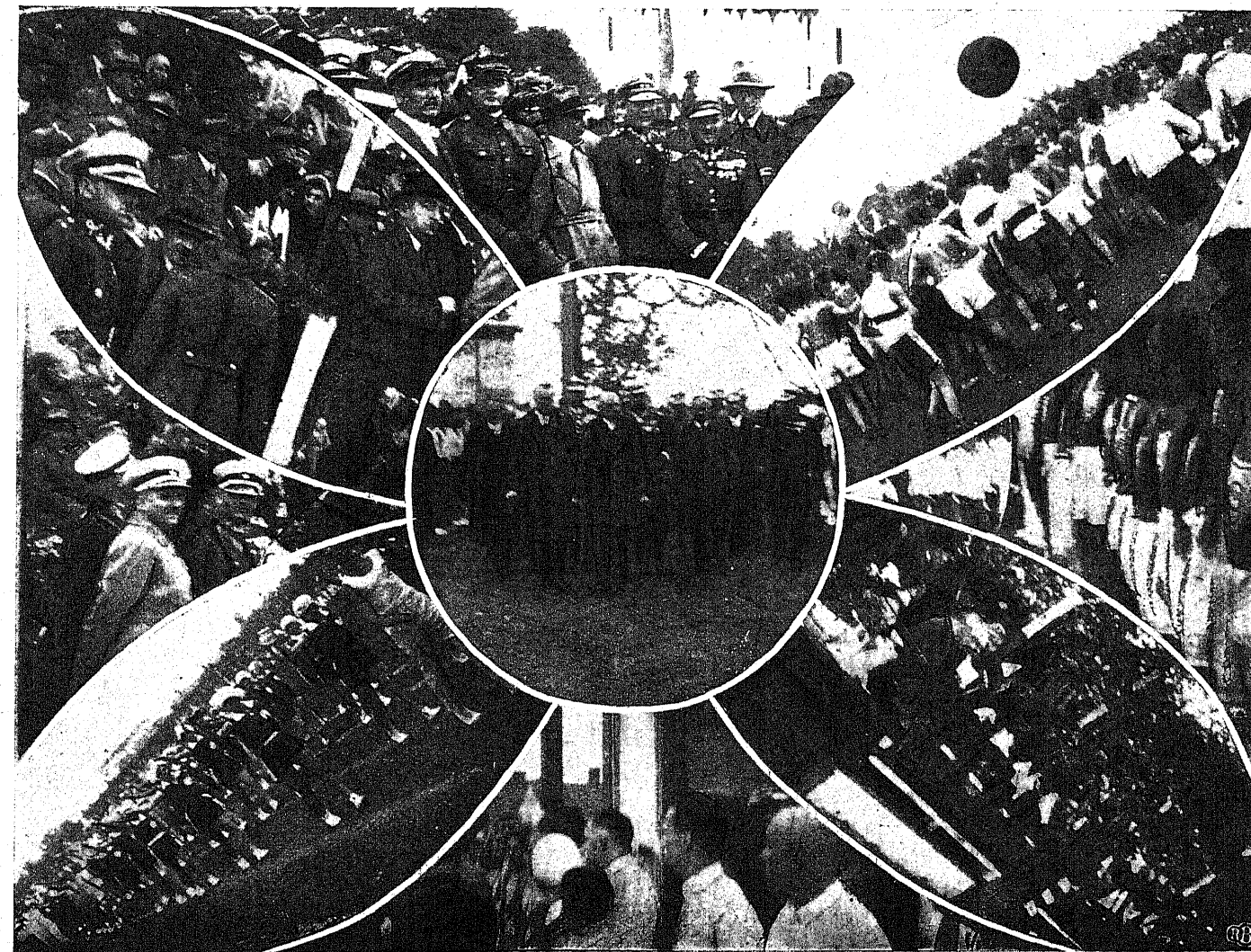
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI

Niedziela, 14 września 1930 roku,

Nr. 38

## Rewja sportowa w Łodzi.



W ubiegłą niedzielę, dnia 7 b. m. odbyła się w Łodzi wielka rewja sportowa, dzięki której mieszkańcy mieli wyjątkową sposobność zapoznać się z potężnym w dobie obecnej ruchem wychowania fizycznego, którego idea krzewi się w szerokich kołach młodzieży. Propaganda sportu przemika w najszerze masy. Z zamiłowaniem poświęca się idei wychowania fizycznego również młodzież robotnicza, zorganizowana w klubach fabrycznych. W święcie klubów fabrycznych wziął udział reprezentujący w uroczystości p. Prezydenta Rzplitej minister pracy i opieki społecznej, p. Prystor. Na zdjęciu powyższym widzimy liczne fragmenty uroczystości, a więc powitanie ministra Prystora przez przedstawicieli władz i organizacji sportowych oraz zawody sportowe młodzieży, składające się na imponującą całość rewji, będącej wyrazem tężyzny fizycznej młodzieży polskiej.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.